

NON SERVIAM

ROZMOWA Z KONRADEM SZLENDAKIEM
TWÓRCĄ MAGAZYNU "MAGIVANGA"



A WOLNOŚĆ MANIFESTUJE SIĘ DLA MNIE WŁAŚNIE W TYM MOMENCIE SPRZECIWU, KIEDY Z PEŁNYM PRZEKONANIEM MÓWISZ "NON SERVIAM" I CZUJESZ, ŻE WSZYSTKIE POKOLENIA HISTORYCZNYCH I MITYCZNYCH BUNTOWNIKÓW, ZACZYNAJĄC OD PROMETEUSZA I INNYCH DUCHÓW DOSTOJNYCH, STAJĄ ZA TOBĄ MUREM.

Czy fakt, że stworzyłeś i prowadzisz magazyn "Magivanga", opisując w nim ten mniej popularny wymiar rzeczywistości i jej alternatywnych tuneli daje poczucie bycia wolnym?

Wiesz, tworzenie i prowadzenie czegoś alternatywnego, odmiennego, niestandardowego – w tym przypadku magazynu internetowego – może być faktycznie jakimś sposobem na mówienie veto i potwierdzam, że w moim przypadku tak właśnie jest. Jednak sam fakt skupienia się na nieznanym lub mało znanych przestrzeniach kultury, wyciągania ich na wierzch, nie gwarantuje

OCZYWIŚCIE poczucia wolności. I tu mały aneks, jeśli rozbierzemy ideę wolności na czynniki pierwsze, nie ma ona moim zdaniem żadnego korzenia, rdzenia czy esencji.

Powiedzmy sobie bowiem szczerze: wolność cywilna jest wolnością fikcyjną, istniejącą jedynie na papierze i w przemówieniach politycznych – ograniczona bywa ona zazwyczaj ramami ekonomiczno-społecznymi – zaś wolność personalna jest w praktyce nie do osiągnięcia, gdyż realizacja jej potencjału zostaje zablokowana przez czynniki psychologiczne (czy też etologiczne impulsy habitatu). Pozostaje oczywiście kultowa w pewnych kręgach wolność duchowa (kosmiczna, totalna, niedualistyczna), która nie ma żadnych związków z doświadczeniem codziennym – pozostaje poza ramami społeczno-kulturowo-politycznymi – jednak jeśli zaczniemy ją rzutować na pozostałe, lepiej zwerbalizowane inkarnacje wolności, nie tylko nie otrzymamy czystego, holograficznego obrazu (4D + psylocybina), ale zanurzymy się w otchłani utopijnego eskapizmu.

A dzieje się tak z kilku powodów: "na szczycie piramidy" wciąż musimy jeść, porozumiewać się z ludźmi, płacić rachunki za energię i podatki (choć doradzam unikanie tego ostatniego). Jakakolwiek wolność ostateczna nie może oznaczać utraty kontaktu z "niższą rzeczywistością", gdyż w innym wypadku wpadamy w pułapkę dualizmu i samozachwyty. Reasumując, nie stajemy się wolni robiąc COŚ DUCHOWEGO, ale osiągając zrozumienie własnej misji w połączeniu ze stanem ekstazy, miłości i zrozumienia wartości istnienia innych żyjących istot, a także wszystkich niezbędnych połączeń. W tym sensie MGv i inne "tunele wolności" mogą być jedynie drogowskazami na bardzo osobistej, skalistej drodze, którą każdy musi przejść sam.

Pisząc w gruncie rzeczy o ludzkich przejawach twórczej ekspresji, czasem bardzo kontrowersyjnych, wskazujesz tym samym, że... no właśnie, co chcesz przekazać czytelnikom twojego magazynu?

Czy ja wiem, czy Magivanga jest taka kontrowersyjna? Nie wydaje mi się, ale może być to skutek mojej subiektywnej optyki. Jeśli chodzi o przekaz magazynu, to ciężko mi go tak naprawdę zwerbalizować, gdyż pomiędzy recenzjami muzycznymi, filmowymi, tekstami o dragach, artystach, pisarzach, opowiadaniach i wierszami, nie widać zupełnie łączącej je nitki. To prawda, że dużo z informacji, które przekazujemy, należy do krainy undergroundu czy też nisz kulturowych, ale można też u nas znaleźć bardzo mainstreamowe njusy i artykuły. Wiesz, magazyn tworzy w tej chwili pięćka ludzi i każdy z redaktorów ma swoje własne zainteresowania. Jeśli powiem, że każdy z nich chce wciągnąć czytelnika w swój własny świat, będzie to chyba najbliższe prawdy.

Dragi, sex, rock and roll, twórczość Magivangi w gruncie rzeczy orbituje nieustannie wokół tych tematów. Czy bunt to przereklamowany bubel – iluzja wolności, dobry stary trick lajfstajlowy, na którym można nieźle zarobić wytwarzając produkty dla buntowników? Coraz więcej przekroczonych tabu i co?

Zgadza się, że na łamach MGv piszemy obecnie dużo o dragach, seksie i rock and rollu, ale nie tylko, bo piszemy też o psychologii, historii kultury, polityce, ezoterice, mediach i setce innych rzeczy, od których tak naprawdę wszystko się zaczęło. Wspomniana działka to nowy rozdział w historii magazynu – tematy atrakcyjne dla czytelnika, które są chętnie czytane i generują dużo odsłon, zarówno w krótkiej, co i długiej perspektywie. Gdybym wciąż obstawał przy wizji MGv

jako magazynu z najbardziej podziemną tematyką w podziemiu, strona by się nie rozwijała i była dalej czytana przez małą bandę świrów. Osobiście pragnę zaś rozszerzać sukcesywnie krąg czytelników, by jak najwięcej ludzi poznawało dżunglę ludzkiej kultury, której skraje jedynie opisują duże media.

Jeśli chodzi o kwestię buntu, to mój własny bardzo ewoluował od wieku cięłego i obecnie postrzegam go jako dynamiczne narzędzie inspiracji do szukania czegoś więcej poza ekonomiczną i społeczną stabilizacją. Czy to bubel? Nie sądzę, ale każdego typu energię można oczywiście zamienić w zabawkę, produkt i dobrze na tym zarobić. Jednak nie jest to takie proste, jak mogłoby się wydawać, produkt bowiem trzeba dostosować do rynku, którego żelazne zasady ograniczają marketingowe manewry. A jako że podstawowym z nich wciąż pozostaje popyt na określoną wibrację, jego wysokość automatycznie kreuje wielkość tortu.

Ten można oczywiście nieco rozepchać udaną akcją promocyjną, ale nie sprzedasz w Polsce 100 tys. koszulek z G.G. Allinem, bo zna go zaledwie 20 tys., a tylko ¼ lubi na tyle, by kupić koszulkę. A jeśli chciałbyś zrobić prawdziwy biznes wokół postaci tego znanego buntownika, to musisz sprzedać miliony! Tego zaś nie osiągniesz nawet w kraju o wyższym poziomie ekonomicznym tj. Stany Zjednoczone, Wielka Brytania czy Norwegia. Nie przesadzajmy więc z tezą o sprzedaży buntu, bo to co faktycznie jest sprzedawane: koszulki Sex Pistols, trampki The Ramones i paski Iron Maiden, nie mają z buntem nic wspólnego. Są to niszowe produkty zaledwie wykorzystujące ikony, artefakty, nostalgiczne symbole przeszłości, gdyż buntu per se sprzedać się nie da.

Czy kontrkultura jest w twoim pojęciu zjawiskiem, postawą życiową, awangardą potocznego mainstreamowego ściegu? Czy tworzenie kultury alternatywnej lub też uczestniczenie w jej obiegu wciąż wymaga odwagi i wysiłku, czy może jest już zwykłą etykietą, przebrzmiałym frazesem, martwym wspomnieniem czegoś niegdyś żywego?

Kontrkultura była, jest i będzie ruchem wymierzonym w społeczeństwo jako pożeranie indywidualności i cudowności doświadczenia, a także tabuizowanie pewnych zachowań. Czy przyjmuje ona formę skrajnie indywidualistyczną, czy kolektywistyczną, czy też oscyluje pomiędzy obydwoima, tworzy zawsze coś na kształt kosmicznego tunelu, wyrwy, luki w konsensusie społeczno-kulturowo-ekonomiczno-politycznym. W tym sensie pozostaje ona zarówno alternatywą, awangardą, jak też ciekawym zjawiskiem kulturowym, które próbowałem opisać w swojej pracy magisterskiej.

Kultura alternatywna z drugiej strony jest czymś w rodzaju bąbla, który zwykle wyrasta z kontrkultury w momencie popularyzowania się jej wizji i idei. Jako, że w jej ramach mieści się mniej skrajności – jest to bowiem faza skostnienia czy też utrwalenia na stałe kiedyś żywej rewolucji – uczestnictwo w niej wymaga pewnego rodzaju uniformizacji zachowań i poglądów. Kultura alternatywna wykazuje przy tym większą podatność na komercjalizację i korporacyjne zasysanie. Mamy też do czynienia z ciągłym napływem pozerów, którzy widzą w niej sposób na szybki ridizajn własnego życia: dorzucimy nowe ciuchy, kolczyk w brwi, dwa tatuaże, kupimy jedną płytę rockabilly i już jesteśmy w środku (pomyśl np. o Camden Town w Londynie).

Reasumując, kultura alternatywna bywa zazwyczaj "fajną etykietką", choć czasem przekroczenie granicy mainstream/alternatywa wiąże się z pewną odwagą osobistą (lecz tylko w państwach, gdzie

żywa jest moralność kazalnica, tj. Polska czy Włochy). Ale jest to zaledwie wspomnienie czegoś żywego, musztarda po obiedzie, która jest eksploatowana zarówno od wewnątrz (przez samą scenę – dużo jednostek zaczyna eksplorować ją jako rynek zbytu), jak i z zewnątrz (przez dizajnerów, marketerów, fotografów). Z drugiej strony, to dzięki kulturze alternatywnej pewne wątki kontrkulturowe trafiają w końcu do mainstreamu, który jest skazany na pasożytowanie na twórczej energii. Koniec końców mamy więc do czynienia z logiką skomplikowanego ekosystemu, którego nic nie jest w stanie obalić – to byłoby jak wyeliminowanie DNA.

Rzeczywistość jest dla ciebie uzgodniona czy wymuszona? Czym jest dla ciebie wolność? Czym jest ta mityczna i wypruta do cna idea wolności – jak jest twoja wolność? Jak się dla ciebie manifestuje konkretnie w życiu i kiedy z pełną świadomością możesz przyznać, że doświadczasz stanu wolności?

Jeśli zgoda zachodzi bez twojego udziału albo przy twoim sprzeciwie, to czy wciąż jest zgodą? Moim zdaniem rzeczywistość podlega ciągłemu odkrywaniu, tworzeniu, reinterpretacji i jeśli ktoś twierdzi, że jest taka, a nie inna, niszczy ideę chaosu i zmienności, w którą wierzę. Jak mówił świętej pamięci Timothy Leary: "Chaos jest z gruntu dobry, naucz się surfować po jego falach." Jeśli ktoś zabrania ci tego surfowania, to wymusza na tobie określoną postawę i wtedy godzi to w twoją osobistą wolność do interpretacji tego, co cię otacza lub tego, co nosisz w środku. Jestem anarchistą i uważam, że jeśli ktoś lub coś próbuje ograniczać twoją wolność, twoim obowiązkiem jest wypowiedzenie "słusznej wojny"!

A wolność manifestuje się dla mnie właśnie w tym momencie sprzeciwu, kiedy z pełnym przekonaniem mówisz "Non serviam" i czujesz, że wszystkie pokolenia historycznych i mitycznych buntowników, zaczynając od Prometeusza i innych duchów dostojnych, stają za tobą murem. Z drugiej strony istnieje też ekstatyczna, błoga strona wolności – *sat-chit-ananda*, jeśli wolisz – całkowite roztopienie ego w stanie szczytowania: czy to podczas aktu miłosnego, czy na kwasowej górze, czy podczas medytacji, czy w stanie nagłej wizji. Odpowiadając więc na twoje pytanie, prawdziwa wolność manifestuje się dla mnie w krótkich momentach, w których przekraczam pewną granicę (strachu, ego, bezpieczeństwa) i czuję, że NIC nie może mnie uwięzić ani unicestwić.

Czym jest dla ciebie sieć?

Idea sieci jako medium wyszła oryginalnie od Marshalla McLuhana w latach '60 (a jakże), który stwierdził, że wszyscy będziemy kiedyś żyli w globalnej wiosce i mogli komunikować się ze sobą bezpośrednio na dużą odległość. Tę ideę przejął w latach '70 Timothy Leary, który rozpropagował ją w telewizji do tego stopnia, że stała się rodzajem samospełniającej przepowiedni. Jednak dopiero Steward Brand (twórca Whole Earth Catalogue) połączył w latach '80 kalifornijskie środowiska posthipisowskie (zwane czasem ruchem ludzkiego potencjału) z wczesnymi pionierami technologii krzemowej, tj. Steve Jobs, dając tym samym podstawy cyberkultury.

Gdy wojskowy Arpanet zamieniony został w globalny Internet dzięki wynalezieniu protokołu HTTP, wszyscy pionierzy cyberkultury szybko wskoczyli na pokład, tworząc załączki dzisiejszych stron internetowych: BBS-y, na które łądowno wszystkie możliwe informacje, uważane przez ich twórców za cenne. W tym okresie dominowały idee dzielenia się informacją czy też przepływu

darmowej informacji, która zdaniem wielu wizjonerów tj. Jaron Lanier czy Mark Pesce (twórca wirtualnej rzeczywistości), miała doprowadzić do wtórnej demokratyzacji społeczeństwa na niehierarchicznych zasadach.

Jak dobrze wiemy, cyberutopizm odszedł jednak w końcu do lamusa, a pałeczkę przejął biznes internetowy, rozwijający się gwałtownie aż do dotcomowego boomu końca lat '90, którego krach przetrwało niewiele z firm – największą z nich jest Google, Inc. Ale mimo tego, bo nikt nie odpuszczał, Internet zamienił się kilka lat później w międzynarodowy bazar wyszukiwarek, sieci społecznościowych, firm SEO, elektronicznych sklepów-gigantów, serwisów aukcyjnych, stron HOW TO, spam blogów, którego rozwoju jesteśmy świadkami dzisiaj. W tym morzu cyberwzrostu prawdziwe pieniądze zarabia jednak tak naprawdę setka gigantów, która jest w stanie przyciągnąć odpowiednio dużą liczbę użytkowników, traktowaną jako target dla różnych produktów, generowanych w ramach bezpośrednich systemów marketingowych (choć na Facebooku na przykład sami użytkownicy są produktami).

Mali w tej sytuacji muszą zadowolić się smakiem i dalej działać za darmo, chyba że dzięki dużej inwestycji są w stanie rozwinąć skrzydła (w USA jak najbardziej możliwe, w Polsce nie). I to chyba odpowiada na twoje pytanie: dzisiejsza sieć to infokomercyjne morze, na którym chude płotki walczą z opasłymi wielorybami o terytorium i wbrew pozorom nie ma tu za darmo. By wygenerować informację trzeba albo czasu i pieniędzy, a zazwyczaj obydwóch. Tymczasem firmy komunikacyjne kasują co miesiąc za surfowanie, a sam Internet jest kontrolowany hierarchicznie i może zostać wyłączony, gdy tylko rząd amerykański stwierdzi, że dosyć już tej cyberwolności.

Pracowałeś w “standardowych” wysokonakładowych mediach, które już od dawna, wydaje się, zjadają swój własny ogon. Jak z perspektywy tych doświadczeń z mainstreamem i “szczurzym dziennikarzeniem”, polegającym w dużej mierze na manierze lansu, praktyce staży i głodowych stawek postrzegasz współczesny krajobraz medialny?

Owszem, pracowałem dwa lata w Aktywiście i całe szczęście nie zdecydowałem się na przeprowadzkę do Warszawy i kontynuowanie tam kariery etatowego dziennikarza. Zamiast tego wybrałem los uchodźca w Londynie, gdzie zresztą się spotkaliśmy... przy okazji robienia mediów :))) Tak, stawki 90% dziennikarzy w Polsce są śmieszne, żeby nie rzec absurdalne, ale dobrze odzwierciedlają status samego zawodu, który stał się w ostatnich latach autoparodią, rzeczywistością w krzywym zwierciadle. Można wprawdzie „wchodzić w środowisko” z ambitnym nastawieniem o pisaniu wspaniałych reportaży, felietonów i znaczących społecznie artykułów, ale redakcyjna rzeczywistość szybko te sny weryfikuje. Większość z twoich pomysłów już na starcie zostaje odrzucona jako niekompatybilna z targetem, a to co napiszesz zostaje pocięte, ocenzurowane i przeredagowane nie do poznania. W ten właśnie sposób wszystkie potencjalnie dobre materiały dziennikarskie stają się medialnymi paróweczkami, które zostają potem zjadliwie skomentowane w sieci za swoją miałość, a często nie z winy autora lecz natury samego systemu publikacji.

A jeśli chodzi o staże czy praktyki, to owszem, coś w tym stylu odbywałem przez miesiąc z hakiem w redakcji trójmiejskiego Dziennika Bałtyckiego i było to jedno z najgorszych doświadczeń w moim życiu. Redaktorka naczelna była kobietą bez mózgu, żyjącą w poprzedniej epoce,

kształtującą styl dziennikarski innych na podobieństwo wypracowań w szkole podstawowej – dno totalne... polskie media lokalne.

Oczywiście, duże media reprezentują nieco wyższy poziom pisania i redakcji tekstów, ale w obliczu kryzysu rynku papierowego i one są zmuszone przycinać na obsłudze całego procesu. Do przeszłości przechodzą długie teksty, profesjonalna korekta i wysokiej klasy DTP, a grafika wielu gazet i magazynów coraz bardziej zaczyna przypominać wygłupy gimnazjalisty z PhotoShopem. Nie mówiąc o bezmyślnym przeklejaniu tekstów PR-owych i njusów z agencji. Ale giganci na krajowym rynku tj. Agora czy Axel Springer muszą teraz rywalizować z mediami internetowymi, które dynamicznie się rozwijają... a większość z nich, przypominam, jest tworzona przez amatorów (w sensie ludzi, którzy nic na tym nie zarabiają), ale oferują często wysokiej klasy ekspertyzę, nieobecną w mainstreamowych mediach z wyżej wymienionych powodów.

Rynek jako kondominium gigantów medialnych upada, a zalewa je morze chaosu, pełne wysepek, tuneli i raf koralowych, które stwarzają perfekcyjne środowisko operowania dla „podłączonego pokolenia”, jednak są wielkim problemem dla kolosów, skonstruowanych do działania w świecie broadcastingu (w definicyjnym znaczeniu). Wiesz, miażdżąca budynki Godzilla musi nagle nauczyć się fruwać, a jest stara i opasła, więc przychodzi jej to z bólem. Jednak to nie wszystko, gdyż światowy kryzys finansowy, który zaczął się w 2007 i właśnie uderza w Polskę, bardzo ogranicza możliwości agresywnego opanowania tego procesu przez szybkie dofinansowanie migracji w sieć.

Giganci muszą zachować zdrowy rozsądek, bo w innym wypadku ich nowe produkty mogą szybko spłynąć z deszczem. Do tego dochodzą oczywiście spadki na giełdzie, bo inwestorzy nie są idiotami i potrafią myśleć, a co za tym idzie, płace dziennikarskie automatycznie lecą w dół. Moim skromnym zdaniem, na skutek tego procesu przy korycie pozostanie już wkrótce tylko kluczowa garstka, głównie dziennikarzy telewizyjnych, generalnych wydawców i redaktorów naczelnych kilku największych gazet i portali. Reszta będzie pracować za głodowe stawki albo za darmo, bo w ostatecznym rozrachunku pracodawcy mogą zwyczajnie dokonywać rotacji studentów na bezpłatnych stażach, co dyktuje logika.

A to oczywiście jeszcze bardziej zepchnie w dół poziom merytoryczny masowych produktów medialnych, choć otworzy oczywiście pole działania małym, niszowym inicjatywom, bo rynek nie znosi próżni. Mam wciąż dużo znajomych profesjonalistów w polskich mediach i naprawdę mi ich szkoda, ale właśnie przyszedł czas, żeby pomyśleli o dobrym kierunku ewakuacji. Mówię to zaś z pozycji człowieka, który widział uderzenie kryzysu w dwa kraje: Wielką Brytanię (gdzie mieszkałem 4 lata) i Włochy (gdzie mieszkam obecnie).

Jest tu miejsce na coś wartościowego? Na prawdziwą treść i kontekst, który nie staje się automatycznie zakamuflowaną platformą dla popytu, sprzedaży, tej bolesnej podprogowej “akwizycji mediów”, które w dużej mierze zamieniły swoje łamy na witryny wystawowe dla powszechnego konsumpcjonizmu?

Wiesz co, jeśli chcesz robić media i dawać ludziom pracę, to musisz zarabiać kasę. To jest akurat absolutnie nieuchronne. Nawet jeśli przyjmiemy jakąś formę utopijnej ekonomii postpieniężnej, to wciąż pozostaje wartość wkładu pracy, która musi być odwzajemniona pewną formą energii, żeby cykl mógł się kręcić, ponieważ każdy musi jeść i płacić rachunki za gaz. Naprawdę nie wrócimy

wszyscy do lasu, bo nie mamy już ich nawet tyle, żebyśmy się mogli w nich wszyscy pomieścić. Czy jest w tym miejsce na prawdziwą treść? Moim zdaniem, jak najbardziej, a że wycieka ona coraz bardziej na rzecz formy, dizajnu i opakowania reklamowego, to jest kwestia potrzeby ekonomicznego zaspokojenia maszyny medialnej, która kręci się na bardzo przyziemnych trybikach.

Zgadzam się jednak, że wraz ze spadkiem dochodów firm i spółek, spada też poziom treści produktów medialnych. Jako że w Internecie goni się głównie za większą ilością odsłon i większą ilością użytkowników, mało popularny tekst staje się automatycznie chujowym artykułem, a przebojem tekst klikatyczny, nieważne jak dobrze został napisany. To bowiem w dalszej perspektywie daje reklamodawcom do ręki informację ile osób zobaczy ich reklamę, a działowi handlowemu dźwignię do targu o konkretną kasę. I tak to właśnie będzie działać, a jeśli ktoś to chce bojkotować, proszę bardzo, tyle że nie widzę w tym sensu, bo zawsze można sobie otworzyć bloga i publikować na nim co się żywnie podoba. A jeśli ludzie zaczną napływać do tego rodzaju nieskomercjalizowanych treści i czytać je regularnie, to odwracają się automatycznie od materiałów komercyjnych, co jest prostym rozwiązaniem problemu, związanego z twoim pytaniem.

Może odbiorca mediów zacznie po odruchu wymiotnym wynikającym z nadmiaru, szukać treści rzetelnej, unikatowej, dotyczącej prawdziwych wymiarów naszej egzystencji, rdzenia, który u zarania był esencją dziennikarstwa, komunikacji, opowieści. Co sądzisz?

Pamiętasz słynną pieśń Gila Scotta-Herona: Revolution won't be televised? Z tego samego powodu rewolucja dziennikarska nie nastąpi w dużych mediach, bo nie ma w nich na nią miejsca. Ale, jak powiedziałem, Internet wciąż daje pole działaniom twórczym, które z roku na rok stają się coraz prężniejsze, a czasem przebijają swoim poziomem treści oferowane przez gigantów. Czy znajdziemy tam coś w rodzaju "dotykania prawdziwego rdzenia egzystencji"? Przypuszczam, że od czasu do czasu tak, ale nie za często, gdyż prawdziwego dziennikarstwa trzeba się uczyć latami, a jeśli zaczynamy mówić o amatorach i mediach groundrootsowych, to merytorycznie wchodzimy na bardzo nierówny grunt.

W jaki bowiem sposób możesz kształcić warsztat, oko, uczyć się pewnych reguł, form i rozwijać wyobraźnię dziennikarską, jeśli robisz to po nocach albo w weekendy? Oczywiście, gdzieś tam możesz dojść, ale osobiście jestem zdania, że jeśli naprawdę chcesz tworzyć "wielkie opowieści", to musisz wskoczyć na półkę pro, a to znowu wiąże się z kasą. Jeśli nikt za to nie zapłaci, to jak polecisz do Zimbabwe, żeby napisać ten wielki reportaż o brutalnym coup d'etat? Nie będziesz w stanie tego dobrze zrobić, jeśli nie jesteś profesjonalistą, któremu pokrywa się koszty przelotu i pobytu, a potem płaci za materiał? Innymi słowy, jeśli nie ma zapotrzebowania rynkowego na tego typu akcje, to równie dobrze możemy sobie je między bajki wsadzić.

Osobiście, pokładam małą wiarę w tzw. dziennikarstwo obywatelskie, jeśli nie stoi za tym poważne wsparcie finansowe, choć większość tzw. profesjonalnych reportaży wrzuciłbym przy tym do kosza, ale to wynika z mojego osobistego gustu. W Polsce jest potrzebna rewolucja, którą w USA w latach '60 wywołało pojawienie się Nowego Dziennikarstwa, krytycznego wobec status quo. Prawdziwy problem polega jednak na tym, że kronikarskie modele z PRL-u nigdy nie zostały u nas zburzone i wszystkie media kurczowo się ich trzymają, gdyż panicznie boją się przewrotu... i tu znowu wracamy do punktu wyjścia.

“Era informacji”, postindustrialna hybryda przeciążenia, coraz częściej brodzenie w mule płytkiej treści, czy to w nośniku analogowym, na papierze, czy też w cyfrowym “cyrku kuglarzy i błaznów”, co cię motywuje aby, jak to sam określiłeś, wchodzić do tego “morza”? Jest tutaj w ogóle jakiś obiecany ład, satysfakcja, może przygoda, coś nieznanego? Tak naprawdę jest wciąż dla ciebie coś do odkrycia, czy raczej po prostu to sposób spędzania czasu?

Wiesz, nie będę ukrywał, że MGTV robię przede wszystkim dla własnej satysfakcji i miło spędzam przy tym czas, a że jestem obecnie bezrobotny i prowadzę żywot Big Lebowskiego, mam go wybitnie dużo. Do tego „morza” wskazuję więc dlatego, iż mogę sobie na to pozwolić czasowo, ale także dlatego, iż daje mi to radochę zapełniania luki, której nikt inny w polskojęzycznym Internecie nie zdołał jeszcze zapełnić. Naprawdę fajnie byłoby na MGTV zarabiać, ale przy polskiej, pełzającej ekonomii jest to praktycznie niemożliwe, więc szukam dochodów gdzie indziej, choć na razie z marnym rezultatem, bo moje curriculum jest kompletnie niekompatybilne zarówno z polskim, jak i włoskim rynkiem pracy. Na tym pierwszym nie ma miejsca dla freelancerów, a na tym drugim jestem za stary. Obecnie wyprzedaję swój stock winylowy, żeby „powiązać koniec z końcem”, choć na szczęście do upadku mi i mojej narzeczonej jeszcze daleko :D

W moim rozumieniu “wolność” jest tym obszarem bez granic, nakazów i barier - Możemy to nazwać umysłem, wyobraźnią i wreszcie pasją – wewnętrznym światem poza Kontrolą. Twórczość, pisanie, snucie opowieści, przywoływanie obrazów z “wewnętrznego terytorium” i próba ich przemycenia do ograniczonego, trójwymiarowego świata przyczyny i skutku, granic, nakazów, w jakim fizycznie żyjemy, jest i powinno być Aktem odwagi. Pójście “na maksa” w pasję do końca kosztem opuszczenia sfery komfortu i gwarancji powodzenia, wpisany jak to sam określiłeś w buntowniczy nurt “non serviam” - odwaga “nie służenia” to dla ciebie czyn heroiczny?

Opuszczenie sfery bezpieczeństwa zawsze oznacza akt odwagi, jakkolwiek by do tego nie podejść. Wiesz, świadomie wyrzuciłem swoją karierę do kosza w 2007 wybierając emigrację na Wyspy i wciąż ponoszę tego wyraźne konsekwencje – choć, jak trzeba podkreślić, zarówno pozytywne, jak i negatywne. Pamiętajmy, wnosząc znowu do dyskusji kontekst polskiej rzeczywistości społecznej, że w tym kraju każdy akt idiosynkrazji postrzegany jest jako niebezpieczeństwo dla utrwalonych wartości kolektywnych, głównie przez religijny beton – to właśnie on dusi lajfstajlowy i światopoglądowy pluralizm: dużo Polaków żyje przez niego mentalnie w XIX wieku.

Ale gesty realnego sprzeciwu oznaczają też męstwo i z tego powodu należy im się określony szacunek. Jeśli są zaś konsekwentne, wyrażają głębokie, wewnętrzne przekonanie o możliwości przeżycia na marginesie – bo tam właśnie dobrowolnie się usuwasz – które nie jest oczywiście łatwe. W Polsce niezmiernie trudno będzie ci przeżyć w kompletnym undergroundzie, bo nie ma tam co jeść, a w Europie Zachodniej jest to już o wiele łatwiejsze, jednak wszędzie czeka cię walka o byt. Jeśli człowiek stawia wszystko na jedną kartę, to dużo ryzykuje i czasem musi pójść drogą trickstera, żeby jego „ręka” nie została sprawdzona. A jak się ma do tego pisanie i ewokowanie świata wyobraźni? Staje się czasem transem, który przynosi piękne wizje, inspiracje i siłę, żeby brnąć dalej.

Czym w twoim przekonaniu jest "rzeczywistość" w której żyjemy? Jakim głównym wpływom podlega i czym jest w nas moc jej zmiany?

To niezmiernie trudne pytanie, szczególnie że czysto metafizyczne, a więc bardzo, bardzo europejskie. Moim zdaniem każdy żyje w innym "tunelu rzeczywistości" (tę metaforę zawdzięczam oczywiście Robertowi Antonowi Wilsonowi), który tworzą wierzenia, doświadczenia, przyzwyczajenia, a także oczekiwania danej jednostki. Ludzie, zwierzęta czy rośliny operują jednak w grupach, które zawsze łączy wspólny język. Ten wyznacza jednak z drugiej strony dwie granice: kulturowe i gatunkowe stając się granicą poznawczą.

Delfin nie dogada się z tygrysem, a Chińczyk z Holendrem, jeśli jedna ze stron nie nauczy się wcześniej języka drugiej lub obydwie strony nie zaczną komunikować się w języku wspólnie znanym. A to pokazuje, jak bardzo jesteśmy na codzień podzieleni – język jest głównym nośnikiem naszych przekonań, wartości i metafor, uważanych za źródło naszej tożsamości (niezmiernie ważnej dla definicji rzeczywistości). Czy słowo "rzeczywistość" oznacza jednak po chińsku dokładnie to samo? Intuicyjnie stwierdzam, że nie, ale moja intuicja nigdy nie będzie intuicją drugiego...

Tak samo jak różne języki, istnieją różne sposoby, różne tropy interpretowania rzeczywistości. Od mistycznych, magicznych i religijnych, przez intuicyjne, naukowe, psychologiczne, aż po ciekawe hybrydy. We współczesnej interpretacji magicznej, którą zawdzięczamy Aleisterowi Crowleyowi, rzeczywistość podlega zmianie, którą osiąga się poprzez realizację Prawdziwej Woli, ale żeby zrozumieć dogłębnie i wykorzystać ten koncept trzeba się już grubo zagrzebać w ćwiczenia i lektury okultystyczne. Ta wizja rzeczywistości zawdzięcza jednak sporo oświeceniowej alchemii, która z kolei sporo zawdzięcza praktykom neoplatońskim, gnostycyzmowi i misteriom basenu Morza Śródziemnego tj. Misteria z Eleuzis.

W antropologiczno-historiograficznej perspektywie doznanie czy też wizję rzeczywistości – nie chcę używać słowa teoria, bo to bardzo nowożytny koncept – która jest podatna na ciągle, często nieprzewidywalne zmiany, zawdzięczamy przede wszystkim praktykom szamańskim. Te zaś, jak pokazuje coraz więcej dowodów archeologicznych, opierały się już jakieś 25-30 tys. lat temu na wykorzystywaniu środków psychodelicznych. To właśnie za ich pomocą szamani odkryli, że wszystko może zmienić się w mgnieniu oka – do czego doszła jeszcze obserwowalna cykliczność pór roku – a to z kolei wymusiło na nich poszukiwanie technik, dzięki którym mogliby nad tym chaosem choć trochę zapanować. Neoszamanizm, odrodzenie okultystyczne, neopogaństwo, duchowość psychodeliczna i różne kontrkulturowe twory są zasadniczo sposobami na zapanowanie nad chaosem, którego tak boją się wszystkie religie monoteistyczne, oparte na wierze w niezmiennie zasady i trwałą tożsamość.

Gdzie dostrzegasz pozytywny ludzki potencjał i jego największe możliwości?

Duży potencjał tkwi w każdym z nas, tyle że nie wszystkim chce się go szukać, a tym którzy go znaleźli często nie chce się go wykorzystywać :) Nie ma sensu się rozwodzić czy tkwi on w sercu, umyśle, wątrobie czy szyszynce, gdyż jeśli zostaje odkryty i zaprzęgnięty do działania, potwierdza zwykle swoją wagę. Moim osobistym zdaniem, największy potencjał mają jednak wyobrażenia i pragnienie wolności. Żadnej z tych rzeczy nie jesteś w stanie zabić, zdusić ani osadzić w więzieniu...

Co cię inspiruje, nakręca i "nakazuje" nadawać swój osobisty sygnał w eter naszego wspólnego pola życia?

Osobiście, inspiruje mnie ludzka szczerłość i odwaga, które wspólnie składają się na dziwność, oryginalność i nietuzinkowość. Wiesz, dużo czasu poświęciłem na odkrywanie i analizowanie życiorysów znanych arystów, pisarzy, muzyków, magów i rewolucjonistów, którzy dysponowali dwoma wymienionymi cechami i wiem, że jeśli te dwie rzeczy idą ze sobą w parze, to zwykle mamy do czynienia z przypadkiem wybitnym. Nie mówimy oczywiście o pięknych i bogatych celebrytach, ale o prawdziwych osobowościach z jajami, które potrafiły wypiąć dupę, gdy czuły, że ktoś próbuje ich robić w chuja lub wsadzać do klatki i nie bały się przy tym sądu, więzienia, nienawiści, prześladowań i zamachów na swoje życie. A 99% ludzi natychmiast zaczyna srać pod siebie, gdy czuje że przekracza granicę przyzwolenia społecznego, lecz mnie interesuje ten buntowniczy 1%, który kroczył zawsze swoją drogą.

Nie zamienimy jednak oczywiście społeczeństwa w bandę indywidualistów, gdyż to z definicji operuje w kręgu norm i wartości kolektywnych, które są bardzo sztywne i ustalane bardziej na zasadzie negatywnego feedbacku niż umowy kulturowej – kwestionuję przy tym definicję społeczeństwa jako wspólnoty, gdyż jest ono dla mnie zasadniczo jej zaprzeczeniem. Oczywiście, w kulturze polskiej, która jest znacznie bliższa kulturom azjatyckim w definiowaniu indywidualnego istnienia – w oparciu o "tyranię kolektywizmu" – jednostkowe życie tym bardziej nie ma szansy przebicia się jako istotna społecznie wartość. Indywidualność należy w Polsce tylko do sfery mitu: uczy się o niej w szkołach, używając jej artefaktów do podkreślenia wagi czynów obarczonych martyrologią, a więc powinnością wobec zbiorowości lub eksploatuje podczas występów politycznych (cierpienie i poświęcenie).

Ta indywidualna wolność pozostaje jednak uwięziona w sferze wyobrazeniowej – jej realizacja w życiu codziennym byłaby bowiem tym samym, co zstąpienie Matki Boskiej Częstochowskiej z obrazu na ziemię, a więc świętokradztwem, przekroczeniem tabu. To zaś pozostaje kluczem do polskiej tożsamości, zamykającym ją w kręgu definicji negatywnych i warunków sine qua non: "jeśli nie jesteś katolikiem, nie jesteś prawdziwym Polakiem" lub "jeśli nie kochasz ojczyzny, jesteś jej zdrajcą". Ale problemem głównym jest to, że tożsamość narodowa nie ma już dłużej żadnej racji bytu – to twór XIX-wieczny, który w dużej mierze został w Europie zastąpiony postnarodową tożsamością lokalną czy regionalną, a przynajmniej w mojej opinii.

Jednak 50 lat komunizmu utrwaliło niestety w Polakach myślenie centralistyczne, dogmatyczne, skrajnie wsteczno-plemienne, które podsycane jest dodatkowo przez polityków, walczących nieznużenie bzdury o szczytnym, misjonarskim przeznaczeniu mieszkańców kraju nad Wisłą. A upolitycznienie problemów tożsamości kończy się zawsze tym samym, wejściem na scenę demonów demagogii, faszystu i totalitaryzmu, które spychają prawa obywatelskie na drugi lub trzeci plan. To widać zaś wyraźnie w polskiej ekspansji penalizacji zachowań publicznych i rozszerzaniu funkcji prawa do absurdu: od karania za przechodzenie na czerwonym świetle, picie piwa na ulicy i puszczanie psa w lesie, aż po aresztowanie człowieka na podstawie pogłosek. W Europie to jest nie do pomyślenia, ale w Polsce jest możliwe, gdyż prawo do wyboru własnego stylu życia przez członka społeczeństwa nie jest u nas żadną wartością, a jedynie zagrożeniem dla mitycznego, religijnego ładu i bezpieczeństwa całego systemu.

Co lubisz robić i dlaczego?

Lubię słuchać winyli, czytać i opalać się, a także palić trawę i oglądać dobre filmy. Ponadto, od czasu do czasu lubię przez tydzień lub dwa poleżeć na plaży, gdzie ładuję akumulatory. Aaaa, lubię też ugotować i zjeść smaczny posiłek popijając dobrym winem, a oprócz tego kocham oczywiście pisać i prowadzić Magivangę! Sądzę, że bez wielu z tych rzeczy życie nie byłoby takie przyjemne, a więc możesz mnie w jakimś sensie nazwać hedonistą :)

Bez jedzenia nie ma życia, co warto jeść twoim zdaniem w czasach hybryd pokarmowych i GMO?

Stary, każdy je to co uważa za słuszne – nie będę się z nikim kłócił! I pomimo tego, że nie ma już wątpliwości, iż wszystkie wysoko przetworzone produkty żywnościowe szkodzą w dłuższej perspektywie mniej lub bardziej układowi pokarmowemu, wątrobie, nerkom i sercu, ciężko mi sobie wyobrazić społeczeństwo odżywiające się w 100% zdrowo i wzorowo.

Z GMO bym nie przesadzał, w większości krajów europejskich produkty zawierające GMO zostały z miejsca zbanowane ze względu na swoją enigmatyczność i potencjalne zagrożenie dla zdrowia – brak dowodów o swojej nieszkodliwości. Jedyńm krajem, który dał się wciągnąć w sieć lobbingową Monsanto i innych firm, jest niestety Polska, ale mam nadzieję, że zdrowy rozsądek i głośny sprzeciw społeczny wygrają także w tym skorumpowanym, rządzone przez chciwych idiotów kraju.

A odpowiadając na twoje pytanie, w naszych czasach ponownie warto jeść to co się samemu wyhodowało. Tu powracam z wątkiem "back to the land", ale taka jest moim zdaniem przyszłość – zmniejszenie dystansu pomiędzy producentem, a konsumentem do zera. Sam powinien zostać hodowcą, rolnikiem, pasterzem i nauczyć się tego, co jakieś 100 lat temu było podstawą przeżycia na każdej europejskiej wsi lub też wejść w kooperację z kimś, kto już podjął taki tryb życia. W miastach należy przepchnąć "projekt zielonych dachów", czyli wykorzystać przestrzeń na dachach wielkich budynków do hodowania żywności albo po prostu wynieść się gdzieś, gdzie można rozpocząć życie bliższe natury.

Oczywiście, nikt nam nie podaruje działki i domu w pięknej okolicy, ale przy obecnych spadkach cen nieruchomości ten plan można zrealizować sprzedając swoje mieszkanie w mieście i wynosząc się na wieś, co sam zresztą zrobiłem dwa lata temu i absolutnie tego nie żałuję. W innym wypadku jesteśmy skazani na płacenie coraz więcej za jakościową żywność, na którą popyt w Polsce wciąż jest bardzo mały – we Włoszech ten rynek jest na przykład znacznie większy. Dzieje się zaś tak dlatego, że producenci żywności organicznej (biologicznej) mają znacznie wyższe koszty i mniejsze plony, tak więc muszą więcej kasować za swoje produkty. A w Polsce, gdzie podatki, paropodatki i koszty obsługi biznesu zżerają większość przychodów, idzie się po najmniejszej linii oporu – szybko, tanio, skutecznie – co oczywiście wprowadza na rynek bardzo niezdrową żywność, która ma coraz mniej wspólnego z prawdziwym pożywieniem, a w dłuższej perspektywie zabija również przyzwyczajenia smakowe i kreuje problemy zdrowotne.

Ulubione smaki, coś bez czego nie możesz się obyć?

Będzie tego trochę, ale jeśli chodzi o moje ulubione, to lubię te śmietankowe, które najlepiej wyrażają lody fior di latte lub świeżutka burrata, warzywno-pomidorowe, winno-grzybowe, a także mocne aromaty dojrzalego sera w stylu gorgonzoli, bitto, taleggio czy pecorino sardo. Od czasu do czasu skubnę również coś pikantnego, wędzonego czy przyprawionego szafranem lub rozmarynem, ale tutaj zachowuję raczej umiar. Jeśli chodzi o czerwone wino, preferuję wyrazistą paletę Nebbiolo z Lombardii z silnym aromatem owoców róży, lekką wanilią i delikatną porzeczką czy jeżyną lub też bardziej skomplikowane kompozycje win tokańskich (Solaia, Castello di Brolio, Guada al Tasso, Tignanello). Jeśli chodzi zaś o białe, to lubię silny zapach "kocich szczyn" win Sauvignon z Friuli czy świeżość rzymskiego Frascati, Pecorino, a także delikatnie musującą mineralność tokańskiego Vermentino. Jeśli chodzi o piwo, najbardziej podchodzą mi obecnie mocne piwa belgijskie (np. Trippel) ze swoją goryczką, która jest jednak równoważona przez karmelowy posmak – te zawsze wprowadzają mnie w lekko senny nastrój.

Wegetariańska dieta – co myślisz?

Co ja ci mam powiedzieć? Jestem wegetarianinem od 12-go roku życia (a mam obecnie 33 lata) i dobrze się czuję ze swoją dietą, choć zdarzyła mi się mała przerwa w wieku 18 lat. Dodam, że przestawiłem się na wegetarianizm, gdy w Polsce mało kto o nim jeszcze słyszał, ale nigdy nie chciałem radykalizować się jeszcze bardziej – być weganinem, witarianinem czy breatharianinem. Dobrze mi z serami, jajkami i śmietaną, choć żyję bez ryb i bez skorupiaków. Nie analizuję obsesyjnie każdej paczki chipsów w obawie czy producent nie użył przypadkiem sproszkowanej nogi słonia, która może widnieć pod ezoterycznym kodem E-50623 – a żeby poprawnie odgadnąć co kryje się pod takim kodem, trzeba oczywiście odbyć dodatkowy trening analizując wszystkie kody, którymi posługuje się przemysł spożywczy – i nie robię wielkiej afery, gdy w chińskiej restauracji do wegetariańskich sajgonów dorzucą mi jakieś kawałki wieprzowiny (a zdarza się to często).

Innymi słowy, mój wegetarianizm jest zachowawczy, ale rozsądny i pokojowy, gdyż nie widzę siebie jako proroka, który ma z wszystkich uczynić wegetarian już w przyszłym miesiącu. Co więcej, dużo rozrywki przysparzają mi wegetariańscy wojownicy, którzy każdemu spotkanemu mięsożercy próbują wyjaśnić, że to co robi, to zło wcielone, a biedne duchy kur i świnek obserwują jego nieczyny proceder z zaświatów. Moja narzeczona je mięso i z tego powodu od czasu do czasu upiekę jej kurczaka, stek czy hamburgera. Zupełnie nie mam problemu z dotykaniem, przyrządzaniem czy gotowaniem mięsa, po prostu sam bym tego nie zjadł i obstaję przy swojej diecie.

Dodatkowo, nie miałbym problemu z zastrzeleniem zwierzęcia (czy człowieka), jeśli zagrażałby bezpośrednio mojemu życiu. Nie jestem pacyfistą, a od mięsa trzymam się z daleka głównie z powodów smakowych i mentalnych. Nie sprawia mi przyjemności jego jedzenie, a mój umysł napełnia się po jego spożyciu dziwną energią. Wegetarianizm jest więc dla mnie przede wszystkim odrzuceniem tego, co mi nie służy, a nie batalią ideologiczną, jak dla 90% innych wegetarian. Dodajmy, że znany i lubiany Dalaj Lama je mięso i nie prowadzi wegetariańskich tyrad, a sam Gautama Siddhartha zwany Buddą zmarł najprawdopodobniej po spożyciu nieświeżego mięsa. Jeśli chcemy żyć w spokoju, dajmy żyć innym!

Mając "aktywizator magiczny" co byś uruchomił w "rzeczywistości"?

Gdybym taki miał, to bym go zagrzebał głęboko pod ziemią. Taka Lampa Alladyna to dość niebezpieczna rzecz.

Archetyp szczęścia – jakiś pomysł?

Prosty człowiek, któremu żyje się łatwo i który potrafi cieszyć się każdą chwilą bez strachu przed śmiercią jest człowiekiem szczęśliwym, ale żeby to osiągnąć trzeba się trochę nakombinować. Osobiście, nie znam idealnej recepty, jednak wierzę, że każdy może ją znaleźć. Unikałbym przy tym wszelkich guru twierdzących, że ścieżka do szczęścia jest taka, a nie inna, a wszystkie odpowiedzi na ludzkie problemy można naprawić skupiając się na czubku własnego nosa lub przekazując innym mądrości hinduskich mistrzów. Odpowiedź na twoje problemy nie leży w Indonezji, Brazylii czy na Alasce, ale w zasięgu ręki.

Prawdziwą sztuką jest uwolnić się jednak od kompulsywnego szukania czegoś więcej, choć nie jest to popularna idea w świecie, w którym każdy chce mieć więcej i więcej. Z drugiej strony, nie widzę jednak nic złego w dążeniu do stabilizacji materialnej w kraju, gdzie 40% ludziom nie starcza do pierwszego. Czasem mam wrażenie, że dużo z polskich guru nie potrafi odróżnić konsumpcjonizmu od robienia zakupów, mając jedynie przed oczami przykład własnego podwórka. Przyszłością jest moim zdaniem zwiększanie poziomu samowystarczalności komórek społecznych (własna marihuana, własne pomidory, własny cukier) i faktycznie widać już pewne ruchy na horyzoncie, ale fantazjowanie na temat przeszczepienia Europejczykom przenikającego-wszystko-świętego-ducha-Indii uważam za totalną bzdurę. Ludzie, przede wszystkim zdrowy rozsądek!

Magia w życiu – jak przełożyć to na praktykę?

Nie jest to takie trudne, jak mogłoby się to wydawać. Najlepsze działanie magiczne to takie, które umotywowane zostało wewnętrznie poza tymczasowym rezultatem, a więc samo się nakręcające dzień i noc! Trzeba najpierw poznać swoją Prawdziwą Wolę, wprowadzić ją do swojego życia, a potem dać się mu toczyć bez zbyteńnego wysiłku. Jeśli wkładamy w swoje życie zbyt wiele energii, oznacza to iż jest w nim mało magii, a jeśli jest w nim mało magii, to nie toczy się ono po naszej myśli. Skup się na jednej rzeczy, a jeśli się uda, skup się na kolejnej. W razie awarii powtórz zaś punkt pierwszy... aż do skutku!

Dzięki za rozmowę.



Rozmowa i zdjęcia: Marcin Piniak / placwolnosc.net